

VADEMECUM **OLAF POPKIEWICZ** POSZUKIWACZA



BUKOWY LAS

WSTĘP

Większą część życia spędziłem na przemierzaniu leśnych ostępów w poszukiwaniu pokrytych korozją reliktywów przeszłości. W tym jakże emocjonującym zajęciu wydatnie pomagało mi urządzenie zwane wykrywaczem metali.

Zaryzykuję twierdzenie, że detektory towarzyszą mi od momentu, kiedy zacząłem stawiać pierwsze kroki. Zafascynowałem się nimi dzięki przyjacielowi mojego taty, którego nigdy nie nazywałem inaczej jak wujkiem Leszkiem. Leszek Wilgat, bo o nim mowa, był jednym z pionierów polskiej eksploracji i każdemu, kto ma choć nikłe pojęcie o pierwocinach tego hobby w naszym kraju, to nazwisko powinno obić się o uszy. Mały Olafek uczył się mówić w zamierzchłych czasach, gdy I sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej był Edward Gierek, a pośród wydm Mierzei Wiślanej, pod rozłożystymi koronami kampinoskich dębów



Jak widać, już jako pacholę mały Olafek fascynował się militariami. W czapce wopisty podziwiam wykopany niemiecki pistolet maszynowy MP 40

czy też na bieszczadzkich połoninach po raz pierwszy dało się słyszeć „ujadanie” wykrywaczy metali.

Stało się to za sprawą niewielkiej szparki, którą na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku towarzysz Edward uczynił w żelaznej kurtynie, czyli militarnej i propagandowej zaporze dosyć szczelnie oddzielającej Polskę od krajów niezrzeszonych w klubie zwanym Radą Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, lepiej znanym pod skrótowcem RWPG.

Przez ową szparkę poczęli się przeciskać najprzebieglejsi z Polaków, by zawędrować do zakazanej krainy rozciągającej się po drugiej stronie. Zdarzało się, że wracali. Przywozili wtedy bogactwa tak zwanego drugiego obszaru płatniczego: dewizy, gumę do żucia, banany, ubrania, a w skrajnych przypadkach nawet samochody. Były to stereotypowe przedmioty zbytku, o których marzył niemal każdy mieszkaniec kraju nad Wisłą, ich posiadanie zaś stanowiło spełnienie marzeń o lepszym życiu snutych przez równie stereotypowego Kowalskiego, czyli obywatela PRL-u.

Czasem jednak reklamówki z Aldi dźwigane przez rodaków powracających z zagranicznej tułaczki zawierały coś więcej niż mandarynki, jeansy czy kawę. Myślę o urządzeniach, których przeznaczenie było co najmniej tajemnicze albo wręcz nieznane ogółowi ówczesnych Polaków. Stanowiły one wytwory zachodniego konsumpcjonizmu, który wprawdzie usiłowaliśmy naśladować, żując gumę czy wkładając spodnie dzwony, jednak nie pojmowaliśmy do końca prawideł wpływających na mody panujące w świecie rozciągającym się za żelazną kurtyną. Parafrazując słynne powiedzenie: „Głodny sytego nie zrozumie”, pokuszę się o stwierdzenie, że będąc obywatelami państwa, w którym panujący system społeczny doprowadził do dominacji minimalizmu wymagań bytowych, my, Polacy, nie potrafiliśmy zrozumieć sensu używania steppera czy zmywarki do naczyń.

Jednym z takich osobliwych urządzeń był detektor metali, który w PRL-u pod nazwą wykrywacza min



Współcześni poszukiwacze cieszą się jak dzieci, gdy uda im się wykopać niemiecki hełm. Kilkadziesiąt lat temu zdarzały „garnek” był znaleziskiem tak powszechnym, że zaraz po wydobyciu pogardliwie zawieszano go na drzewie i mało komu przychodziło do głowy, żeby go zabierać

używany był przez armię w celach określonych regulaminem wojskowym. Tymczasem na Zachodzie zyskał on nowe, pokojowe przeznaczenie, stając się narzędziem rekreacji cywilów urzeczywistniających dziecięce marzenia o poszukiwaniu skarbów.

Kiedy pierwsi Polacy uzbrojeni w przywiezione z Zachodu wykrywacze metali zaczęli przeczesywać ojczyste pola i lasy, ich działalność traktowana była przez współplemieńców dosyć pobłażliwie. Postrzegano ich jako nieszkodliwych wariatów i nikt nie próbował podcinać skrzydeł tej, wydawałoby się, dziecinnej pasji.

Doskonale pamiętam tamte czasy. Świątek ówczesnych poszukiwaczy był niezwykle hermetyczny. Ograniczał się do wąskiej grupy ludzi, których determinacja była na tyle duża, że dla poczucia dreszczyku towarzyszącego wykopywaniu zardzewiałego złomu płacili fortunę za wykrywacze sprowadzane z drugiego obszaru płatniczego, poszukiwali kontaktu z rodzimymi wytwórcami zdolnymi skonstruować detektor w zaciśniętych domowych pieleszy lub, w skrajnych przypadkach, majstrowali go samodzielnie na podstawie schematów podejrzanych w „Młodym Techniku”. W ten sposób zaczęły powstawać wykrywacze rodzimej konstrukcji wykorzystujące podzespoły pozyskiwane z szeroko rozumianych sprzętów AGD, takich jak deski sedesowe, gąbki do zmywania naczyń czy mydelniczki.

W Polsce lat siedemdziesiątych XX wieku potencjalna szansa na zobaczenie człowieka uzbrojonego w wykrywacz metali była bliska zeru, prawdopodobieństwo zaś przypadkowego spotkania się dwóch poszukiwaczy przeczesujących ten sam obszar można przyrównać do sytuacji, w której w bezkresie przestrzeni kosmicznej zderzają się ze sobą dwie komety. Kiedy więc już do takiego spotkania dochodziło, radości nie było końca. Nic bowiem tak nie cieszy jak świadomość, że człowiek nie jest osamotniony w swym dziwactwie. Bo czym, jak nie dziwactwem, nazwać można wykopywanie porzeczonych hełmów, pozbawionych łóż karabinów czy pokrytych białym nalotem odznaczeń będących relikami wojny, która skończyła się zaledwie trzydzieści lat wcześniej

i przysporzyła jej uczestnikom doznań tak traumatycznych, że zbladłyby przy nich najstraszniejsze powieści grozy? Z tej właśnie przyczyny poszukiwania stanowiły rozrywkę ludzi, którzy w przeważającej liczbie nie zachowali w pamięci szokującego obrazu kataklizmu sprzed trzech dekad. Byli to mężczyźni w wieku chrystusowym, znajdujący się w szczytowym momencie swej sprawności fizycznej, ciekawi wydarzeń, o których z niepojętych dla nich przyczyn niechętnie opowiadali rodzice.

Tacy właśnie byli mój tata i przyszywani wujkowie, w wakacje zjeżdżający na Mierzeję Wiślaną i przynoszący ze sobą przygodę, która przełamywała monotonię ospałych letnich dni. Chwile spędzone w ich towarzystwie na wykopywaniu pokrytych rdzą pistoletów tkwiących w rozpadających się kaburach stanowią moje najcudowniejsze reminiscencje z dzieciństwa. Kiedy ma się siedem lat, wszystkie bodźce odczuwa się po stokroć silniej niż dorośli. Gdzieś w mym tyłomózgowiu po dziś dzień drzemie ulotne wspomnienie intensywności zapachów, jakimi emanowały prażony letnim słońcem mech czy wilgotny wydmowy piach przysyłający pordzewiałe relikty wojny, o której opowiadali starzy ludzie. Pisząc te słowa, uśmiecham się, uświadamiając sobie, że wzmiankowani przeze mnie starcy mieli podówczas około pięćdziesiątki. Teraz, kiedy sam zbliżam się do tego wieku, również odczuwam potrzebę snucia wspomnień.

Pamiętam upał, który nie męczył jak dziś, i chwile trwające w nieskończoność, strawione na kontemplowaniu oręża wrogów, z którymi zmagą się załoga



Ludziom, którym nie dane było doświadczyć hitlerowskiego terroru, niemieckie odznaczenie z czasów II wojny światowej wydaje się interesującym reliktem przeszłości

Rudego 102. Mieszczący się w dłoni dorosłego mężczyzny pistolet Parabellum P08 świeżo upieczonemu pierwszoklasiście wydawał się armatą. Gdy spod przegniłych okładek wyzierały zęby skorodowanych nabojów, a wymieszany z rdzą piasek deformował opływowe niegdyś kształty broni, zamieniała się ona w oręż z zupełnie innego świata, który zwykliśmy nazywać historią. Przybliżał ją każdy wydobyty z ziemi przedmiot, tworząc w mej głowie coraz plastyczniejszą wizję mrocznej przeszłości, która wydawała się dużo atrakcyjniejsza od bez-troskiej terażniejszości. Do tego dochodziły emocje towarzyszące każdemu odkryciu. Gdy przecinający piasek



Poszukiwanie i znajdowanie relikwów przeszłości stało się pasją mego życia. Jest to swego rodzaju uzależnienie, przed którym przestrzegam Czytelników. Jeśli połkniecie bakcyła eksploracji, może już nie być dla Was odwrotu

szpadel natrafiał na twardą powierzchnię spoczywającego w głębi przedmiotu, rozlegał się głuchy odgłos, który zwiastował, że za chwilę mogę stać się odkrywcą depozytu zakopanego przez kapitulujących żołnierzy złowrogiej armii Hitlera. Taki zastrzyk emocji dla chłopca, którym wtedy byłem, stanowił podniecie dużo atrakcyjniejszą od jazdy na karuzeli czy zabawy w chowanego.

Wciąż marzę o powrocie do tamtej krainy. To tęsknota za chłopcem, która drzemie w większości mężczyzn.

Ta zabawa w Piotrusia Pana czy, jak kto woli, pogoń za zeszłorocznym śniegiem jest głównym motorem mej pasji do odkrywania przeszłości za pomocą wykrywacza metali.

Psychoanaliza, której właśnie dokonałem na samym sobie, jest próbą uświadomienia Czytelnikowi, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Uwielbiam poszukiwania z wykrywaczem metali, ponieważ stanowią reminiscencję dzieciństwa, które dzięki staraniom rodziców miałem naprawdę beztroskie i wesołe.

Jeśli sięgnęliście po tę książkę, to znak, że idąc za moim przykładem, uzbrojeni w detektor pragniecie szukać szczęścia pośród pól i lasów. Nie macie jednak doświadczenia w tej materii i każda podpowiedź może być Wam przydatna. Jako że po czterdziestu latach wymachiwania patykiem z talerzem nabrałem sporej wprawy w eksploracji, postanowiłem się z Wami podzielić swym doświadczeniem, przelewając zdobytą wiedzę na karty poradnika. W niniejszej publikacji będę starał się swe rady uzasadniać i opatrywać odniesieniami do konkretnych sytuacji, w jakie mogą Was rzucić realia eksploracji.





PRZYCZYNA PASJI

Zanim kupicie wykrywacz, zastanówcie się, skąd wzięła się w Was potrzeba wyruszenia na poszukiwania. Znajdźcie przyczynę, a doznacie oświecenia.

Jak głosi stare powiedzenie, jeśli nie wiadomo, o co chodzi, w grę wchodzi pieniądze. Podstawową pobudką tłumaczącą każdy, najbardziej nawet dziwaczny czyn jest chęć wzbogacenia się. To właśnie ta potrzeba pchała pierwszych polskich eksploratorów do zainwestowania dużej części w pocie czoła zarobionych aktywów w dziwacznie wyglądający kij z talerzem. Liczyli, że za jego pomocą zdołają znaleźć rzeczy, które będą mogli spieniężyć, a tym samym polepszyć swój byt. Czas wkrótce zweryfikował owe nadzieje i chęć zysku stała się szybko jedynie gładką wymówką dla żon ziryntowanych nieobecnością mężów, którzy znikali na całe weekendy, zaabsorbowani kolejnymi eksploracyjnymi eskapadami.



Sukces w eksploracji to w przeważającej mierze zasługa człowieka, nie zaś wykrywacza

Przestrzegam przed tym czysto materialnym podejściem do poszukiwań. Przypomina ono desperację człowieka, który po raz pierwszy w życiu zasiada przy stole pokerowym w nadziei na wygraną w grze, której zasad do końca nie rozumie.

Z moich wieloletnich obserwacji wynika, że szukanie przy użyciu wykrywacza metali powodowane li tylko chęcią zysku zawsze kończy się zawodem już przy pierwszym zetknięciu z prozaiczną rzeczywistością poszukiwań.

Ostatnio na jednym z internetowych forów poszukiwaczy moją uwagę przykuło pytanie rzucone przez adepta eksploracji, które brzmiało następująco:

*Wiem że mecze na grupie ale jestem świeżakiem jeżeli chodzi o poszukiwania, ale czy wam też często wyszukuje po prostu śmieci? Jakies drucziki, nakrętki, blaszki itp. Czy ja coś źle robię? Pozdrawiam**

Te ogłoszone z interpunkcji i polskich znaków zdania są krzykiem rozpacz i zawodu, gdy okazało się, że **wykrywacz metali nie jest magiczną różdżką**, odmieniającą przyziemną rzeczywistość w przygodę, w której finale człowiek staje się nie tylko szczęśliwszy, lecz także, co ważniejsze, zdecydowanie bogatszy.

Jeśli jedyną pobudką przemawiającą za sięgnięciem po detektor jest nadzieja na radykalne polepszenie Waszej sytuacji finansowej, to zabierzcie się lepiej za gry liczbowe, statystycznie bowiem rzecz biorąc, szansa na skreślenie „szóstki” jest zdecydowanie bardziej prawdopodobna niż sytuacja, w której Wasz detektor zaśpiewa wysokim tonem nad garnkiem pełnym złotych monet.

Wiele osób zapytanych o motyw rozpoczęcia przygody z wykrywaczem utożsamia detektor z rekwizytem, który przybliży historię rozumianą jako przedmiot wykładany w szkołach podstawowych, średnich, zawodowych, a przede wszystkim na kierunkach humanistycznych wyższych uczelni. Bardzo upraszczając całą koncepcję, poprzez wydobywanie z ziemi różnych mniej lub bardziej skorodowanych przedmiotów owi ludzie

* Pisownia zachowana zgodnie z oryginałem.

liczą na podniesienie swej świadomości historycznej. Słuchając takich wywodów, zastanawiałem się, czy zamiast tracić czas na tarzanie się po ziemi i wydobywanie z niej zardzewiałych kawałków metalu, by pogłębić swą wiedzę historyczną, nie byłoby taniej i szybciej ukończyć odpowiednie studia. Uzyskałoby się w ich wyniku bezcenną wiedzę, że dyscyplina naukowa, która bada relikty materialnej działalności człowieka w celu podwyższenia świadomości historycznej, zwie się archeologią, nie zaś historią.

Nie każdy jednak ma cierpliwość i chęć do przesiadywania w szkolnej ławce, pracowitego notowania treści

Gdybym nic nie znajdował, pomyślałbym o zmianie hobby



wykładów, a potem pocenia się na kolokwiach i egzaminach, by po latach starań w zapełnianiu rubryczek indeksu uzyskać stopień naukowy. Poszukiwania z wykrywaczem metali są z pewnością dużo mniej stresujące i nie wymagają aż takiej samodyscypliny jak mozolne studiowanie. Ci, którzy mają problemy z czytaniem książek czy też ze zrozumieniem treści przekazywanych na wykładach, nie powinni być odcięci od możliwości zapoznania się z przeszłością. Proponowałbym jednak, aby owi, jakże pokrzywdzeni przez los ludzie swe poznawanie historii przy użyciu wykrywaczy metali uskuteczniłi w ramach warsztatów terapii zajęciowej, pod okiem wykwalifikowanych pedagogów, nie zaś biegali samopas po polach i lasach, bo więcej z tego może być problemów niż zysków.

Zdaniem wielu eksploratorów kolejnym argumentem uzasadniającym rozpoczęcie przygody z wykrywaczem jest troska o kondycję fizyczną i psychiczną. Podkreślają oni zbawienny wpływ wypraw na łono natury, które wyrwiają ich ze zgiełku miasta, by pośród pól i lasów mogli skuteczniecać długie i jakże romantyczne spaceru. To taka siłownia, gdzie można ćwiczyc różnorakie partie mięśni, jednocześnie podziwiając widoki i oddychając świeżym powietrzem. Wielu Polaków z racji wykonywanego zawodu przykutych jest do biurku, przy których tracą wzrok, wpatrując się w ekrany komputerów, i szargają nerwy, biorąc udział w korporacyjnym wyścigu szczurów. Nie dziwi więc, że choć na chwilę pragną wyrwać się z kierunku profesji i pohasać pośród pięknych krajobrazów. Dziwi

jedynie, że aby rozwijać owe jakże zbawienne dla zdrowia fizycznego i psychicznego aktywności, wydają tysiące złotych na skomplikowane urządzenia geofizyczne. Wszak można spocić się z wysiłku, przekopując ogródek, pieląc przed domem chwasty, sadząc drzewka czy też wykonując na łonie natury tysiące innych wysoce przydatnych społecznie czynności, i nie wydać przy tym ani grosza, a czasem wręcz na tym zarobić.

Jest takie stare powiedzenie, które mówi o tym, jak dla towarzystwa dał się powiesić pewien przedstawiciel narodu Romów. Właśnie chęć przynależności do subkultury poszukiwaczy jest kolejnym często podnoszonym powodem rozpoczęcia przygody eksploracyjnej. W ciągu ostatnich dwóch dekad w Polsce jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać różnego rodzaju stowarzyszenia pasjonatów eksploracji. Zjawisko to stało się tak powszechne, że doprowadziło do powstania mylnego mniemania, iż niemożliwe jest legalne poszukiwanie z wykrywaczem metali bez przynależności do jednej z takich mniej lub bardziej formalnych organizacji. Badania socjologiczne wykazują, że człowiek jest zwierzęciem stadnym i najlepiej czuje się w zbiorowości. Każdy, kto latem postanowi wybrać się nad morze, zauważy natychmiast, że ciągnąca się aż po horyzont plaża zasiedlona jest przez okupujących ręcniki golasów tylko fragmentarycznie. W przeważającej liczbie plażowicze tworzą wyjątkowo ciasno zasiedlone enklawy, pomiędzy którymi rozpościerają się gigantyczne przestrzenie pozbawione parawanów i namiotów, nawiedzane tylko przez nielicznych odszczepieńców



Jestem brudny jak prosię, a jednak szczęśliwy, a to za sprawą pordzewiałego kawałka metalu. Poszukiwania to niesamowity zastrzyk emocji, którego nie zrozumie ten, kto nigdy nie wziął do ręki detektora

ostentacyjnie bojkotujących ogólny trend do grupowych rozrywek. Człowiek rozpaczliwie łaknie uczestnictwa w jakiejś zbiorowości. Wspólne męskie wypady w teren pozwalają przynajmniej na chwilę zapomnieć o problemach codzienności, a czasem je wręcz zmarginalizować, na plan pierwszy wysuwając zależności towarzyskie. Bo to właśnie nie potrzeba poszukiwania, ale funkcjonowania w grupie jest podstawowym motorem pchającym wielu w objęcia eksploracji. Łatwo takich wyłuskać z tłumu

poszukiwaczy. Poznacie ich po awersji do włączania wykrywacza połączonej z tendencją do prowadzenia niekończących się konwersacji o niczym. To ludzie samotni, rozpaczliwie łaknący uwagi i akceptacji, których los rzucił w środowisko amatorów akurat tej pasji, choć byliby tak samo szczęśliwi, gdyby znaleźli swe miejsce w środowisku myśliwych czy kolarzy.

Mamy więc cztery podstawowe powody, które są mniej lub bardziej oficjalnie podawane jako przyczyny podjęcia działalności eksploracyjnej. Bogactwo, chęć poznawania historii, dbanie o kondycję psychiczną i fizyczną, a także więzy przyjaźni.

Mym skromnym zdaniem są one tylko próbą ukrycia prawdziwej przyczyny, z powodu której całe rzesze ludzi mitrzą czas na włóczenie się po polach i lasach w słońce, mróz i upały, nadwężają kręgosłupy, narażają się na pokąsanie przez komary, kleszcze i gzy oraz drenują domowe budżety kosztami paliwa, wykrywaczy i pozostałego ekwipunku niezbędnego w poszukiwaniach. Przyczynę, którą mam na myśli, zna każdy, kto choć raz skorzystał z wykrywacza metali. Mało kto odważy się wypowiedzieć jej imię na głos, gdyż w naszej cywilizacji nie zwykliśmy o rzeczach tak osobistych rozmawiać otwarcie.

Aby wyjaśnić, do czego zmierzam, posłużę się ustaleniami naukowców w interesującej nas materii.

Kiedy cewka wykrywacza wychwyci ferromagnetyk, w ułamku sekundy przekazuje informację do odbiornika przekładającego elektryczny impuls na drgania

membrany w głośniku detektora. Wtedy do uszu poszukiwacza dochodzi dźwięk. Dźwięk, który zwiastuje spoczywający pod ziemią obiekt. Istota tego obiektu w mniejszym lub większym stopniu stanowi niewiadomą. Rozsądek podpowiada, że będzie to zupełnie trywialny przedmiot, rupieć niewarty uwagi. Jeden z tysięcy odłamków, opakowanie od papierosów czy puszka po piwie. Wiemy, że istnieje niewielka szansa, iż natrafimy na coś wyjątkowego, więc z każdym wydobytym śmieciem odczuwamy coraz większą rezygnację, która z kolei przekłada się na zmęczenie psychiczne, a wraz z kolejnym wykopaniem dołkiem rośnie także znużenie fizyczne. Nasza kondycja zaczyna spadać. Kiedy więc zmysł dotyku, a przede wszystkim wzroku prześle do mózgu sygnał informujący o znalezisku dużo bardziej wyjątkowym niż prozaiczny śmieć, źrenice zaczynają się zwązać, a dotychczasowe poczucie napięcia i niepokoju w szybkim tempie ustępuje miejsca euforii rozumianej jako stan dobrego samopoczucia graniczącego z błogością. W okamgnieniu zapominamy wtedy o zmęczeniu, a nawet trapiących nas rozterkach, zarówno tych fizycznych, jak i psychicznych, wpadając w stan samozadowolenia, z tendencją do wybuchów radości i śmiechu. Dzieje się tak, ponieważ pod wpływem emocji związanej z nieoczekiwanym znaleziskiem nasz organizm rozpoczyna właśnie produkcję hormonów peptydalnych, zwanych morfinami endogennymi, czyli w skrócie endorfinami, które nie bez przyczyny ochrzczone mianem hormonów szczęścia.



Zabytkowy już wykrywacz metali używany przez polskich eksploratorów w początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku



Produkowane przez mózg endorfiny wydzielane są za sprawą wielu różnych bodźców, z których najbardziej chyba znanym jest orgazm.

Pisząc te słowa, uzmysłowiłem sobie, że moją zazdrosną ukochaną uspokajałem kiedyś, oświadczając, że jeśli miałbym ją zdradzić, to tylko ze Schmeisserem. Wtedy wydawało się to żartem, aczkolwiek czytając powyższy wywód, muszę przyznać, że coś jednak było na rzeczy.

Nie nawykliśmy do opowiadania o swoich orgazmach. Okazuje się, że także inne sposoby wyzwalania endorfin są w naszym społeczeństwie uznawane za temat do tego stopnia osobisty, że większość poszukiwaczy, zapytanych o przyczynę swej pasji, woli wymyślać jakieś głodne kawałki o zarabianiu pieniędzy, poznawaniu historii, rehabilitacji fizyczno-psychicznej czy koleżeństwie, niż przyznać się do chęci osiągnięcia stanu błogości w momencie, gdy z ziemi wyłoni się upragnione znalezisko.

Jeśli więc czujesz, Drogi Czytelniku, że wykopywanie zardzewiałych przedmiotów jest czynnością, która może sprawić Ci wiele frajdy, wiedz, że książka niniejsza dedykowana jest właśnie ludziom Twego pokroju.

Ludzie twierdzący, że wykrywacza metali pragną używać w celu zdobycia fortuny, zgłębiania wiedzy

historycznej, podniesienia kondycji fizycznej czy też nawiązania kontaktów towarzyskich, nie powinni się nawet do tej publikacji zbliżać, bo i tak niczego z niej nie wyniosą poza graniczącym z pewnością podejrzeniem, że zostali właśnie zdemaskowani.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

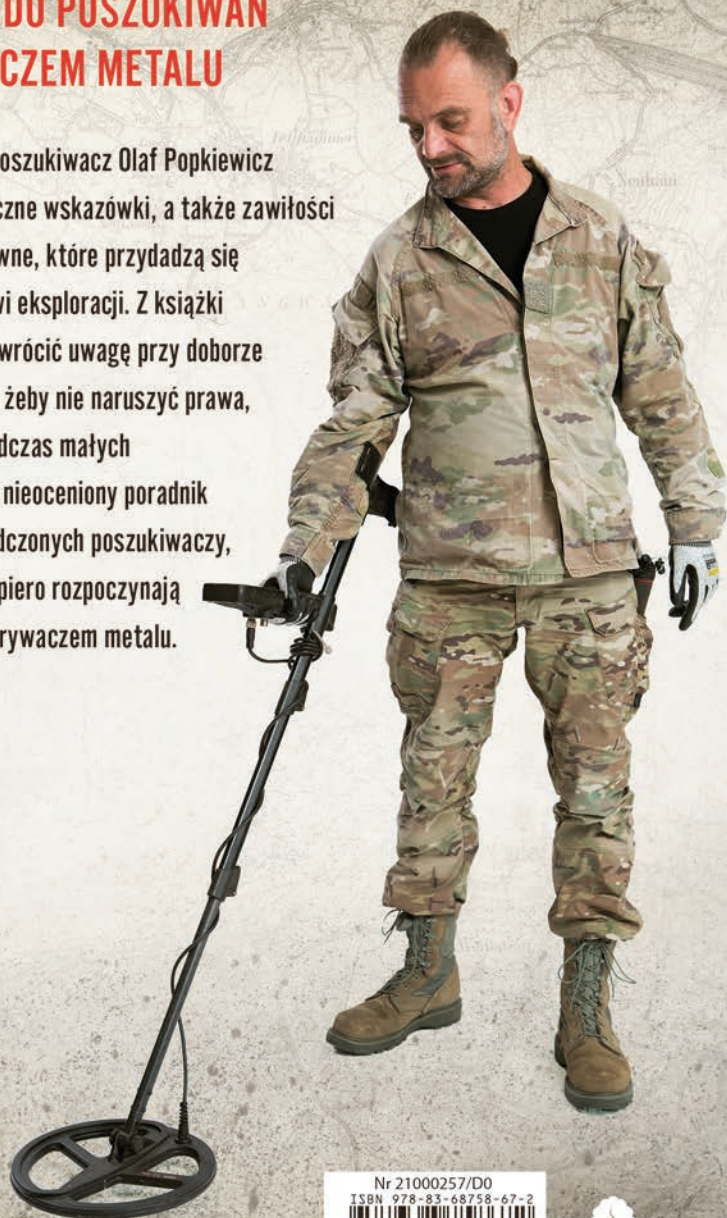
KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

KOMPENDIUM WIEDZY NIEZBĘDNEJ DO POSZUKIWAŃ Z WYKRYWACZEM METALU

Słynny archeolog i poszukiwacz Olaf Popkiewicz przedstawia praktyczne wskazówki, a także zawiłości techniczne oraz prawne, które przydadzą się każdemu miłośnikowi eksploracji. Z książki dowiesz się, na co zwrócić uwagę przy doborze sprzętu, jak szukać, żeby nie naruszyć prawa, o czym pamiętać podczas małych i dużych wypraw. To nieoceniony poradnik zarówno dla doświadczonych poszukiwaczy, jak i tych, którzy dopiero rozpoczynają swą przygodę z wykrywaczem metalu.



Nr 21000257/D0
ISBN 978-83-68758-67-2



9 788368 758672



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł